

Wolbrom

Wolbrom

Tego roku, kiedy przyjechałem do Polski na groby, obficie obrodziły wiśnie. Pociąg do Warszawy biegnie obok rozplamionych sadów. Błyszczące czerwone wiśnie na drzewach wyglądają jak morze miniaturowych lampionów oświetlających komuś drogę – drogę do Warszawy. Na równinach kołyszą się złote kłosa. W otwarte okna wagonu wpada słodka woń świeżo skoszonego siana i sosnowych lasów...

Czy to prawda, że w tym kraju żydowskie dzieci nie cieszą się już dojrzałymi wiśniami, złotymi kłosami? Czy to prawda, że twarzyczki żydowskich dzieci nie nurzają się już w zapachu świeżo skoszonego siana?

Pociąg jedzie spokojną trasą przy podniesionych semaforach, mija wysprzątane dworce. Tam, za stacjami kolejowymi leżą miasteczka z krzywymi dachami, żydowskie miasteczka, które znam tak dobrze, które rozpoznaję po domach stojących na pagórkach i w dolinach jak stadka owiec. Nie, to niemożliwe, żeby tam już nie było Żydów! Te dachy to przecież żydowskie domy z zapracowanymi ojcami i matkami, nieustannie zatroskanymi o swoje pociechy...

Pociąg staje. Konduktor woła: „Wolbrom!”, a mnie się wydaje, że tylko mnie informuje, że mam tutaj wysiąść.

Na peronie przed dworcem szukam jakiejś żydowskiej twarzy, żydowskiego bałaguły, który by mnie zawiózł do miasta, a po drodze opowiedział o gminie, o wolbromskich bogaczach, o zatargach w miasteczku, ale nie widzę ani jednej żydowskiej twarzy. Może jest przed szabasem i żydowscy woźnice wcześniej wyprzęgli konie? Wsiadam na chrześcijańską furmankę i każę się wieźć do miasta.

– Do kogo? – pyta goj, a od jego dziwnego spojrzenia robi mi się nieswojo.

– Jedź! – odpowiadam wymijająco. – Powiem ci, gdzie stanąć.

Koła stukają o twarde bruk i w tym turkocie pytam raczej samego siebie niż woźnicę:

– Mieszkają w mieście jacyś Żydzi?

Goj odwraca się do mnie bokiem. Patrzy na bat i odpowiada krótko:

– Byli kiedyś!

Odwraca się z powrotem, smaga konia batem i turkot kół na ostrych kamieniach się wzmacnia.

Więcej nie pytałem.

Na rynku zsiadłem z wozu i wydało mi się, że miasto jest puste, że ten goj przywiózł mnie do martwego miasta. Ale rynek jest żydowski. Sklepy są otwarte, chociaż wygląda na to, że nie ma w nich nikogo. Przy narożniku ratusza, tam gdzie powinno koncentrować się żydowskie życie

Wolbromia, stoi pijany chłop i dyskutuje sam ze sobą. Pośrodku rynku stoi osierocona studnia. Przeżuwająca koza wychodzi z bocznej uliczki, rozgląda się po pustym rynku i wraca do siebie. Obok studni widzę kilka grobów sowieckich żołnierzy, ale wygląda na to, że tu, na rynku, pochowane jest całe miasteczko, bo jeżeli nie, to gdzie są wolbromscy Żydzi?

Wolbromscy Żydzi odznaczali się długim życiem i zdrowymi instynktami – więc gdzie są teraz? Dlaczego nie widać ich na rynku, w uliczkach, w sklepach? Dlaczego przy studni nie widać żydowskich dzieci, napełniających żydowski rynek wesołym gwarem?

W okazałym budynku przy ulicy Krakowskiej, w którym mieszkali tutejsi notable, Alterowie i Zalcmanowie, mieści się dzisiaj poczta i po obszernych pomieszczeniach kręcą się obcy, goje o niezgrabnych, chłopskich ruchach. Kręcą się po tych „salach” jak nuworysze. Co?... Żydzi?... Tak, kiedyś byli...

Trzeba szukać wolbromskich Żydów. Jest piątek wieczór. W oknach nie widać szabasowych świec. W sztiblu gerskich chasydów za „ratuszem” Erlichów też ich nie ma. Tu ściany są obwieszane świętymi obrazami, wizerunkami Chrystusa i Maryi. To jedyni „Żydzi”, których spotkałem w gerskim sztiblu. Na nieposłanym łóżku siedzi stara chłopka i nie rozumie, co tu jest do oglądania, co można zobaczyć w tym ciemnym pokoju?

Faktycznie nie ma tam nic do oglądania. Ale po drugiej stronie rynku, w bocznej uliczce coś jest: wysoka synagoga¹ stoi obrabowana, na ścianie wschodniej widać ślady po aron ha-kodesz, podłogi zerwane, nawet z drewnianego sufitu powyrywano deski. Ciężki smutek wisi na ścianach, pełza po zdewastowanej żydowskiej bóżnicy. Naprzeciwko, w besmedreszu² dewastacje są jeszcze większe. Stosy końskiego łajna leżą po kątach. Z łajna wystają poźółkłe, martwe kartki ze świętych ksiąg, a sufit jest popękany i szerniały, jakby ten budynek przez wiele lat stał opustoszały. A zaledwie pięć lat wcześniej buzowało tu życie, obchodzono wesołe święta i pobożne szabasy – żydowskie życie.

Chrześcijańskie dzieci i dorośli przyglądają mi się z zaciekawieniem. Kogo tu szuka ten obcy? Co tak patrzy na powybijane okna bóżnicy i besmedreszu? Co takiego?... Żydzi?... W Wolbromiu już nie ma Żydów. Na bagnach zginęli...

6 września 1942 roku o piątej rano miasto zostało otoczone trzema kordonami batalionów mordy. Żaden Żyd z Wolbromia nie miał prawa się uratować. Wszyscy mieli zostać zamordowani,

1

Synagoga gminna została wzniesiona ok. 1750 r. Podczas II wojny światowej Niemcy urządzili w niej magazyn i stajnię. Po wojnie budynek popadł w ruinę, w 1956 r. go rozebrano.

2

XIX-wieczny budynek bet ha-midrashu gminnego przetrwał II wojnę światową. Po wojnie został zaadaptowany na magazyn i tak jest użytkowany do dziś.

zlikwidowani. Pierwszy kordon „zabezpieczający” tworzyli Polacy, junacy z Baudienstu, następny – polska granatowa policja, trzeci – Ukraińcy, a w centrum Niemcy wyginali Żydów z domów i mordowali. W Wolbromiu przebywali wtedy także Żydzi z Wodzisławia i Opola³. W tamten ponury poranek skazano na śmierć cztery tysiące pięćset żydowskich istnień. Nie wszyscy mieli to szczęście, by ich rozstrzelano na miejscu. Większość musiała jeszcze przez dwie długie, straszne doby leżeć na bagnach dwa kilometry za miastem, aby później zginąć w komorach gazowych Bełżca. O tych piekielnych dwóch dobach na bagnach polscy sąsiedzi mówią jak o najradośniejszych dniach swojego życia. Przez te dwie doby się wzbogacili. Za butelkę wody i kawałek chleba Żydzi płacili oszczędnościami na posagi córek, rodzinną biżuterią i ostatnim groszem.

Żydzi, którzy zdołali przedrzeć się przez ukraiński kordon i przekupili granatową policję wszystkim, co jeszcze posiadali, padali pod siekierami i łopatami ostatniego kordonu – polskich junaków. Z kordonów żaden Żyd nie wyszedł żywy.

Dla tych, którzy chcieli jechać do „celu przesiedlenia”, Niemcy przygotowali chłopskie furmanki, a polscy junacy wykopali pod lasem głębokie doły. W tych dołach znalazły wieczny odpoczynek dwa tysiące Żydów, dorosłych i dzieci. Ubraniami zamordowanych, którzy przed śmiercią musieli rozebrać się do naga, zapłacono polskim zuchom za ich dobrą służbę...

Dwa miesiące później, w listopadzie 1942 roku żydowska gmina przestała istnieć⁴. Nastąpiła druga „akcja”. Zdolnych do pracy zapędzono do obozu pracy w Stryju, a pozostali powiększyli grób na skraju podmiejskiego lasu.

Teraz rynek jest pusty, bóżnica i besmedresz są zbezczeszczone i ogołocone, nie ma kto w Wolbromiu błogosławić szabasowych świec...

Idę na grób wolbromskiej gminy pod lasem. Mijam zdewastowany cmentarz⁵, gdzie nie ma ani jednego całego grobu, ani jednej macewy, ani śladu po ogrodzeniu – kompletna ruina. Na skraju lasu jest niskie wzniesienie. Kilka krów wspina się przednimi racicami i skubie trawę, która jest tutaj bardziej soczysta i zielona niż gdzie indziej. Dziewczynka pilnująca krów wskazuje ten pagórek i mówi: „Tu leżą Żydzi”.

3

W Wolbromiu skoncentrowano wówczas Żydów z Pilicy i Żarnowca. 7 września wywieziono do Bełżca 5-6 tys. osób, ok. 800 zastrzelono na miejscu; część wywieziono do obozów pracy.

4

10 i 11 listopada 1942 r. do Wolbromia doprowadzono ludność z sąsiedniej Pilicy, Skały i Żarnowca, razem z miejscowymi Żydami – w sumie ok. 500 osób – odwieziono do Miechowa, gdzie 18 listopada ich rozstrzelano.

5

Cmentarz założony w latach 40. XVIII w., doszczętnie zdewastowany podczas II wojny światowej i później; teren się zachował.

Tu leży duża część wolbromskiej gminy. Jedyłą macewą na wielkim grobie są dzikie narcyzy, nasiona przywiał wiatr z łąk. I to wszystko, co zostało z bogatej żydowskiej gminy – ruiny i dzikie narcyzy...

Obraz dzikich narcyzów mnie prześladowuje. Wracam na stację i wydaje mi się, że cała droga, zielone pola i domy usiane są dzikimi narcyzami. I słyszę przenikliwy głosik pastuszki: „Tu leżą Żydzi”. Niemcy ich zamordowali, Niemcy zgładzili wolbromskich Żydów. Ale co tam robili polscy junacy z Baudienstu? Co robiła granatowa polska policja i ukraińscy żołnierze?

Trudno o tym myśleć, bo tu, na stacji, czeka na pociąg kilkudziesięciu Polaków, młodych i starszych, a jak można sądzić, są wśród nich tacy, którzy wtedy, 6 listopada, byli junakami albo policjantami...

W dworcowym bufecie jest cicho i cuchnie jak w szynku. Zamawiam coś i pytam bufetową:

– Dużo było Żydów w Wolbromiu?

– Dużo⁶.

– Wyrżnięci?

– Na bagnach i w lasku. Wyrżnięci jak owce.

– Nikt się nie uratował, co?

– Wielu uciekło, ale motłoch – kobieta gniewnie wydyma wargi i patrzy na drzwi – motłoch okradał tych, co uciekali, i wydawał żandarmom. Jeden młynarz przechował się u mnie przez dwa lata. Przed własną siostrą musiałam się chować. Całe dwa lata ukrywałam go w piwnicy, a jedzenie zносиłam mu tylko w nocy, jak wieś spała, jak było ciemno. Teraz ten Żyd za to przechowanie zbudował mi dom. Inni chłopci tylko patrzyli, żeby Żyd przyniósł swój dobytek, a potem wzywali niemieckich żandarmów. U mnie we wsi jedna chłopka znalazła w stogu siana dwie żydowskie dziewczynki. Ściągnęła z tych biednych dzieci ubrania przez głowę, związała je, zaciągnęła do stodoły, tam cisnęła jak worki. I zaraz zawezwała żandarmów, którzy zastrzelili te dzieci i zakopali obok stodoły. Niech pan sobie wyobrazi, że te dwie martwe żydowskie dziewczynki ją straszą. Straszą za dnia i po nocy. Więc ta chłopka poszła się wypowiadać, chciała dostać rozgrzeszenie. Ksiądz wszystkiego wysłuchał i powiedział: „Dobrze, że się wypowiadałaś, ale rozgrzeszenia ci nie dam. Masz dwa ludzkie istnienia na sumieniu, musisz cierpieć. Później, na tamtym świecie, zostaniesz osądzona...”. I ta chłopka odchodzi od zmysłów, słyszy krzyki tych dwóch Żydówek, a od stodoły ucieka, jakby ją diabły goniły.

Przyjechał pociąg obwieszony ludźmi. Ledwie się wcisnąłem do wagonu drugiej klasy z twardymi siedzeniami. Właściwie zawisłem w powietrzu, w ścisku nie sięgałem stopami podłogi.

– Dwa lata po wojnie, a nie da się jechać pociągiem! – krzyczy jakaś kobieta.

– Poczekaj, ciotko, z jednej okupacji już się wyzwoliliśmy. Poczekaj jeszcze trochę, a będzie dobrze – krzyczy ktoś w tłoku, ale nie widać kto.

– Co, źle wam było za pierwszej okupacji? – wrzeszczy inna kobieta. – Butów wam brakowało? Nie mogliście jeździć koleją? Ten rząd daje wam tyle, co tamte dawały?

Ludzie się śmieją, zadowoleni, że znalazła się odważna, co głośno mówi, jak jest...

Pociągiem zarzuca, jakby jechał po wertepach. Ściśnięty tłum pada raz na jedną, raz na drugą stronę i ktoś zauważa wesoło:

– Trzęsie się jak żydowski pociąg...

– Bo to państwowy! – pada czyjaś cięta odpowiedź i tłum jest zadowolony, bardzo zadowolony.

Czuję zapach wolbromskich junaków, granatowej policji i tragedia wolbromskiej gminy staje się tak boleśnie realna. Każde słowo rzucone tu w pijackiej wesołości jest dla mnie jak uderzenie obuchem. Ale muszę milczeć, muszę przyjmować ciosy, najłżejszym gestem nie wolno mi się zdradzić, że jestem Żydem, a cała ta wesoła rozmowa toczy się przeciwko mnie, przeciwko Żydowi.

Kiedy pociąg zatrzymuje się na stacji Tunel i wydostaję się z wagonu, łapię głęboki oddech, jakbym przedarł się żywy przez trzy kordony mordującego Wolbrom...

Tunel jest węzłem kolejowym, który przepuszcza pociągi z Warszawy, w jedną stronę na Górny Śląsk, w drugą do Krakowa. Nic tu nie ma poza dworcem. Poczekalnia jest pełna podróżnych – chłopów i świeżo upieczonych kupców. To tędy jadą szabrownicy na Dolny Śląsk na rabunek, przez tę stację wracają z workami pełnymi łupów. Aż się roi tutaj od rozmaitych towarów i „kupców”.

W tym „szlachetnym” towarzystwie nie widać ani jednej żydowskiej twarzy, ale sądząc po tym, co mówią „kupcy” i chłopci, całą tę stację, niebo i las opanowali Żydzi, bo słowo „Żyd” jest na ustach wszystkich, żartem i w gniewie.

Zachowuję się swobodnie i śmiało, by nie wzbudzić podejrzenia, że jestem jednym z tych, z których tłum żartuje i szydzi. Inni podróżni też zachowują się swobodnie: na trawie za dworcem rozbierają się, ściągają buty z cholewami, żeby się zdrzemnąć, zanim przyjedzie pociąg do Warszawy. Spacerując między leżącymi, zauważam znajome żydowskie litery w parze butów z cholewami. W parze zwykłych chłopskich butów. Przechodzę obok tego miejsca kilka razy i w końcu widzę wyraźnie: cholewy są wypchane pergaminem z księgi Tory...

Wyciągam się na trawie obok śpiącego chłopca i przysuwam coraz bliżej do tych butów. Goj leży z twarzą do ziemi, a ze sztywnych cholew do błękitnego letniego nieba krzyczą czarne litery:

I rzekł Wiekuisty do Mojżesza: „Wykuj sobie tablice kamienne, podobne pierwszym, a napiszę na tychże tablicach słowa, które były na tablicach pierwszych, które skruszyłeś. A bądź gotów na rano...”⁷

Więcej nie zdołałem wyczytać z chłopskich butów. Zapowiedziano pociąg i pasażerowie ruszyli na peron. Chłop wciągnął buty, zarzucił worek na plecy i poszedł. Ten goj schował Dekalog w butach i pobiegł do pociągu z workiem łupów.

Tam, w Tunelu, dowiedziałem się, że jestem w kraju, gdzie chłopci w butach trzymają przykazania Boże i „nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij” służy do wyściełania cholew...